

kuźnica

miesięcznik poświęcony zagadnieniom współczesności i Śląska

ROK II.

KWIECIEŃ 1936

NR. 4.

TREŚĆ:

STANISŁAW GRADZIELEWSKI: Lojalność i tolerancja. — ALEKSANDER MODES: Sprawy szkolne na tle Konwencji Genewskiej. — POLEGLI W KRAKOWIE. — ALOJZY TARG: Czy aljans z Niemcami? — AUGUSTYN SUSKI: U brzegu. — ZDZISŁAW HIEROWSKI: Przeszkody w odbiorze. — LUDWIK KOHUTEK: Problem cieszyński a Cześć. — WŁADYSŁAW PAWŁOWSKI: Teatr robotniczy i wiejski. — PRZEGLĄDY: Zagadnienie postępu. Jak nie można bronić kultury. Gwóźdź do koniunktury. — Od Redakcji.

Lojalność i tolerancja.

W poszukiwaniu podstaw polskiej polityki narodowościowej.

Polska jest państwem o dużym procencie mniejszości narodowych. Ludzi, którzy mają świadomość, że nie są Polakami, jest w Polsce około 40%. Już sam ten fakt niezależnie od innych przyczyn politycznych zmusza tak władze państwowe jak i społeczeństwo do prowadzenia polityki narodowościowej planowej, obliczonej na długie lata, polityki o jasno sprecyzowanym celu. Tymczasem stwierdzamy brak wyraźnie określonej linii tej polityki — powszechnego uświadomienia sobie celów polityki narodowościowej i to zarówno przez władze jak i przez społeczeństwo. W tej dziedzinie chodzimy poomacku, błądzimy. Czy to spojrzymy na zagadnienie żydowskie, czy niemieckie, czy zwłaszcza ukraińskie, widzimy brak trwałych założeń i jakiejś jasno zarysowanej linii, która byłaby systematycznie realizowana i dawała w sumie stałe choć nieznaczne rezultaty. Może więc jaką prowadzić politykę narodowościową (abstrahu- jąc od tego, czy ta polityka jest słuszna) minister spraw wewnętrznych, wojewoda czy inteligentniejszy starosta, ale na tem to już absolutnie koniec. Niższe organy władzy państwowej są zdezorjentowane, a najbardziej zdezorjentowane jest polskie społeczeń- stwo. Na tem polu jesteśmy świadkami tragicznych nieporozumień, choćby wspomnieć stosunki polsko- niemieckie po pakcie o nieagresji. Popadamy w uczucie apatii, bierności, zwątpienia. W efekcie

na wielu odcinkach cofamy się stale i konsekwentnie. Osiągnięcia nasze w dziedzinie polityki narodowo- ściowej są minimalne i mają charakter sporadyczny. Wymieniłby tu można częściową polonizację prze- myśłu na Śląsku, czy ostatnią przedwyborczą ugodę polsko-ukraińską. Spoglądając na całość zagadnienia polityki narodowościowej w odniesieniu do wszyst- kich mniejszości, musimy sobie zdać sprawę, że wła- ściwie stosowaliśmy metodę liberalną, „laissezfairyzm“, metodę, zarzuconą niedawno w dziedzinie ekonomji a o wiele wcześniej w polityce narodowościowej. Pozostawialiśmy rzeczy biegowi wypadków, czyli nie robiliśmy zgoła nic albo bardzo niewiele. Ograni- czaliśmy się do przywracania porządku tam, gdzie na tle narodowościowym dochodziło do zakłóceń tego porządku. Tak było z pacyfikacją, tak jest z tłumieniem wybrków antyżydowskich. Ale to je- szcze nie jest polityka narodowościowa, to jest tylko konieczna policyjna działalność państwa.

Główną przyczyną naszych niepowodzeń w dziedzi- nie polityki narodowościowej jest brak uświadomienia sobie istotnych podstaw tej polityki, podstaw, które muszą być jednolite, wspólne wszystkim, reprezentu- jącym nawet całkowicie różne zdania co do metod, jakie winniśmy w polityce narodowościowej stoso- wać. Przykładowo: jeżeli wszyscy zgodzimy się,

że podstawą naszych dążeń na kresach wschodnich winien być stały wzrost wpływu elementu polskiego, a więc opanowanie ich przez polskość, wówczas dopiero możemy rozpocząć dyskusję, jakich metod należy użyć, aby wspomniany cel jaknajlepiej i najszybciej osiągnąć. Można więc obrać metodę tolerancji i swobodnego przenikania wpływów, można i obrać metodę typowo imperjalistycznego teroru, jaki w stosunku do nas stosowali niegdyś zaborcy. Wybór metody zależeć będzie od przekonań społecznych, etyki i temperamentu osoby zainteresowanej, może być jednak dokonany jedynie i wyłącznie z pełną świadomością, że jest realizacją celu zasadniczego.

Dalsze rozważania to próba analizy klasycznego pomieszczenia pojęć, wyrosłego na tle braku ustalenia podstaw polskiej polityki narodowościowej.

Rozpanoszył się nagminnie pogląd, który przedstawia się mniej więcej tak: celem polityki narodowościowej jest doprowadzenie mniejszości do pozytywnego stosunku do państwa polskiego. Określa się to powszechnie nazwą lojalności obywatelskiej.

Czemże jest w istocie ta odmienniana we wszystkich przypadkach lojalność, urojony cel, któremu tyle ofiar bezskutecznie składamy. Lojalność obywatelska nie jest niczem więcej, jak podporządkowaniem się prawom (loi) państwa. Chodzi tu głównie o dwie dziedziny: podatki i wojsko jako podstawowe świadczenia obywatela na rzecz państwa. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że podatki i wojsko są przymusowe, a więc wykonanie tych obowiązków wrazie próby ich niedopełnienia państwo i tak wymusi. Lojalnym obywatelem jest ten posłuszny obywatel, który nie sprawia administracji wielkiego kłopotu. „Obywatel“ jest pojęciem formalnym, mówi o przynależności do państwa. O niczem więcej. Lojalność jest też pojęciem formalnym, akcentuje wyłącznie cechy zewnętrzne. Nie pyta się, dlaczego ktoś jest lojalnym. Abstrahuje od trwałych dyspozycji uczuciowych, które są istotne.

Psychologja zna uczucia miłości i nienawiści, przyjaźni i nieprzyjaźni. Trudno mówić o uczuciu lojalności. Spróbujmy tę lojalność odczuwać. Wydaje nam się, że mówienie o uczuciu lojalności jest tragicznym nieporozumieniem. Gdybyśmy jednak chcieli uczucie lojalności bliżej zanalizować, znajdziemy w niem dwa pierwiastki: strach i obojętność. Strach i obojętność to nie są podstawy, na których buduje się silne państwo. Niestety hodowla lojalnych obywateli rozpanoszyła się w Polsce coniemiarą. Zakwitnęła w szkolnictwie za czasów panowania braci Jędrzejewiczów. Przejawem lojalnym myśli politycznej w Polsce to przecież B. B. W. R., w którym obok najzasłużeńszych niepodległościowców siedzieli lojalni Ukraińcy czy jeszcze lojalniejsi Rusini,

lojalni Żydzi a wreszcie lojalni Polacy. Oto przejawy lojalnej myśli politycznej: Żydów i tak nie zasymilujemy, musimy więc wobec nich tak układać swój stosunek, aby byli lojalni. Mniej nas boli kurczenie się polskiego stanu posiadania w Małopolsce wschodniej, bo Ukraińcy są lojalni, wszak głosowali przy wyborach i to tłumnie a przedewszystkiem głosowali na pierwszych dwóch kandydatów, choć pierwszym był Polak a drugim Ukrainiec. Radujemy się, gdy Niemiec wywiesza chorągiew w dzień święta niepodległości, przychodzi z nami na akademję i śpiewa ...Rotę.

Laik wie, że za lojalność nietylko obcych ale i swoich drogo się płaci. I to nie raz ale stale. Bo lojalność to tak jak potwór wiecznie niesyty. Im więcej mu dajesz, tem więcej żąda. Dlatego, że za lojalnością stoi interes.

My za cenę wiernopoddanych, lojalnych deklaracji Niemców czy Ukraińców z trybuny sejmowej lub przy zielonym stoliku ministra przyglądamy się potem spokojnie, jak mniejszości rozbudowują swój stan posiadania kosztem polskości. Montują swą potęgę polityczną. Przygotowują się systematycznie do chwili, gdy będą już dość silni, żeby nie być lojalnymi. Nie łudźmy się. To nie my prowadzimy politykę narodowościową, to mniejszości prowadzą z nami politykę, nabierając nas na lojalność. Czas przestać łudzić się fikcjami. Lojalność bowiem nie jest niczem więcej jak fikcją.

Ciekawe jest tło historyczne, na jakim wyrosła druga „prawda“ naszej polityki narodowościowej: tolerancja.

Nie mamy tradycji polityki narodowościowej, tradycji, która płynęłaby w krwi większości Polaków. Brak nam pewnych praw trwałych, głęboko uświadomionych, w których uzewnętrznia się rozum polityczny narodu i jego racja stanu. Bezpośrednia nasza tradycja w dziedzinie narodowościowej z okresu niewoli, to polityka oporu, w większości biernego oporu, przeplatana aktami bohaterskich protestów. Umacnianie żywiołu polskiego w sposób systematyczny na trwałych podstawach to nieliczne karty naszej historii. Nic dziwnego, że w nowym państwie nie umieliśmy odrazu mocno realizować naszych polskich praw gospodarzy.

Próbowaliśmy szukać tradycji polityki narodowościowej w długich wiekach naszego państwowego bytu przed rozbiorami, polityki, która przyniosła Polsce pewne pozytywne rezultaty, jak polonizację szlachty litewskiej czy ruskiej, zasymilowanie napływowego niemieckiego mieszczaństwa. W tradycji tej znaleźliśmy jedną przesłankę: tolerancję. Uchwyciliśmy się kurczowo metody tolerancji w przekonaniu, że ta właśnie metoda odpowiada najbardziej duchowi naszego narodu, że jest nakazem historii. Utało się

mniemanie, że dla Polaka byłoby niegodnem i poniżającym stosować jakąkolwiek inną metodę. Ulegając metodzie narzuconej przez historję, zapomnieliśmy o celu stosowania tej polityki, nie zwracaliśmy dostatecznej uwagi na wyniki, jakie ona przynosi, albo co gorsze doszliśmy do genialnego odkrycia, że przez tolerancję osiąga się lojalność. Tymczasem tolerancja w naszej praktyce oznacza pozostawienie polityki narodowościowej poza nawiasem zainteresowań, zdanie się na bieg wypadków. Można tak postawić zasadę jedynie wówczas, gdy życie samo za nas pracuje, gdy po pewnych okresach konstatujemy wyniki dodatnie, gdy stwierdzamy, że polskość rośnie. Dziś jednak zamiast stwierdzać wyniki dodatnie, czas dzwonić na alarm. Polityka bierności zawodzi na każdym kroku. Mogła ona być dobra kiedyś, gdy dzisiejsze nasze mniejszości reprezentowały odrębność narodową, nie reprezentowały natomiast uświadomienia narodowego ani ambicij politycznych. Wtedy jednostki, wyrastające z grona naszych dzisiejszych mniejszości na wyższy poziom materialny i kulturalny, siłą rzeczy stawały się Polakami. Dlatego Orzechowski mógł powiedzieć o sobie: „gente Ruthenus natione Polonus”. Lud polski, ruski czy białoruski drzemał zakuty w pańszczyznę, odcięty od narodowego bytu.

Dziś sytuacja uległa radykalnej zmianie i to na naszą niekorzyść. Tego nie potrzeba udowadniać, to są fakty notoryczne. Minęły czasy spokojnego, swobodnego przenikania wpływów, przyszedł okres walki.

Walki, w której my nie bierzemy aktywnego udziału i dlatego jesteśmy bici, że ograniczamy się do tolerowania własnych klęsk. A więc trzeba zmienić metodę.

Tradycję własnego narodu, należy znać, cenić i kochać, — wznawiać zaś jedynie wówczas, gdy jest

użyteczna. Obok tradycyj dobrych mamy i złe. Mamy dużo tradycyjnych wad narodowych. Tradycję bierności i słabości, która, ładniej mówiąc, nazywa się tolerancją, należy odrzucić jako wadę narodową. Nie znaczy to jednak, aby Polska miała stosować takie metody w polityce narodowościowej, jakie stosowali wobec nas zaborcy. Zbyt dobrze bowiem znamy je i pamiętamy, zbyt dobrze wiemy o ich małej skuteczności. Nie może jednak Polska stosować tolerancji jako jedynej i niezmiennej metody polityki narodowościowej wówczas, gdy wyniki jej są zdecydowanie ujemne, tembardziej zaś wówczas, gdy dobrze nie wiemy, w jakim celu tę metodę stosujemy albo gdy przez tolerancję chcemy osiągnąć lojalność.

Trzeba więc wpierw znaleźć właściwą podstawę naszej polityki narodowościowej. Wypływa zaś ona z tej prostej prawdy, że państwo polskie nie przez przypadek nazywa się Polską, że ma to głębokie uzasadnienie. Stąd podstawowym elementem polityki narodowościowej musi być aktywizacja elementu polskiego i jego trwała ekspansja na terenie politycznym, gospodarczym i kulturalnym. O tem, że Polska musi być państwem, w którym wszystko co polskie ma rość, rozwijać się i dominować, o tem nie wolno zapominać ani na chwilę. Niezależnie od tego, jaką obierzemy metodę. To jest jedyna podstawa i jedyny cel. Gdy ten cel zaczniemy realizować w szerokim zakresie, wówczas dopiero będziemy mogli mówić o prawdziwej polityce narodowościowej. Wówczas będziemy mogli pozwolić sobie, gdzie potrzeba, na tolerancję i układać współżycie z mniejszościami w oparciu o poszanowanie wzajemnych praw zgodnie z nakazami naszej tradycji historycznej. Dziś niestety w Polsce wszystkie mniejszości prowadzą politykę narodowościową, nie prowadzą jej tylko Polacy.

STANISŁAW GRĄDZIELEWSKI.

Sprawy szkolne na fle Konwencji Genewskiej.

Dnia 15 czerwca 1937 roku kończy się moc obowiązująca Konwencji Genewskiej, umowy międzynarodowej, zawartej 15 maja 1922 roku w Genewie między Niemcami a Polską. Konferencja Ambasadorów w swej decyzji z dnia 20 października 1921 roku, przyjętej przez Rząd polski 22 października 1921 r. postanowiła, że po dokonaniu ostatecznego podziału Górnego Śląska między Polskę a Niemcy, rządy obu Państw zawrą ze sobą umowę bilateralną, w której uregulują szereg kwestyj, odnoszących się do podzielonego terytorjum.

Traktat Pokoju, zawarty po zakończonej wielkiej wojnie w Wersalu dnia 28 czerwca 1919 roku między mocarstwami sprzymierzonymi i stowarzyszonymi

(Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Imperjum Brytyjskie, Francja, Włochy i Japonja) a Niemcami, postanawia w artykule 87 „jak to już uczyniły mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone, Niemcy uznają zupełną niepodległość Polski i zrzekają się na jej (Polski) korzyść wszelkich praw i tytułów do terytorjów, położonych w granicach, określonych niniejszym traktatem“, a art. 94: „Niemcy już obecnie oświadczają, że zrzekają się na rzecz Polski wszystkich praw i tytułów do części Górnego Śląska, poza linią graniczną, określoną na podstawie plebiscytu przez główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone“.

Traktat Pokoju postanowił, że o losie Górnego

Śląska zadecyduje plebiscyt. Plebiscyt ten odbył się w dniu 21 marca 1921 roku. Część Górnego Śląska, która znajduje się obecnie w granicach Państwa Polskiego, została ostatecznie i bez żadnych zastrzeżeń przyznana Polsce wspomnianą wyżej decyzją Rady Ambasadorów z dnia 20. X. 1921 roku. Wobec tego Konwencja Genewska, zawarta tylko na lat 15, nie może zawierać i nie zawiera jakichkolwiek postanowień o plebiscycie na Górnym Śląsku.

Śląsk jest ostatecznie nieodłączną częścią Państwa Polskiego i pozostanie nią na zawsze.

Konwencja Genewska obowiązuje w obu częściach, niemieckiej i polskiej Górnego Śląska. Jest ona w wielu punktach, zwłaszcza w części odnoszącej się do ochrony mniejszości, jedynie powtórzeniem poszczególnych przepisów tzw. traktatu o mniejszościach, zawartego w dniu 28. VI. 1919 między mocarstwami sprzymierzonymi i stowarzyszonymi a Polską. W ten sposób Konwencja rozciągnęła moc obowiązującą niektórych postanowień wspomnianego traktatu mniejszościowego i na niemiecką część Górnego Śląska. Niemcy bowiem, jak powszechnie wiadomo, traktatu o ochronie mniejszości nie podpisały. Do podpisania takich traktatów zostały zmuszone oprócz Polski, Rumunja, Jugosławia, Czechosłowacja, Grecja, Turcja i Armenia. W ten sposób powstały w Europie dwie kategorie mniejszości narodowych, których położenie prawne jest całkiem odmienne.

1. Mniejszości niechronione przez traktaty międzynarodowe np. mniejszość polska w Niemczech (ochrona z Konwencji kończy się 15. VI. 1937). Do nich zaliczyć należy mniejszości w państwach, które same nie podpisały a innym narzuciły ochronę mniejszości.

2. Mniejszości, na których korzyść istnieją traktaty mniejszościowe np. mniejszość żydowska w Polsce (i w państwach, które zostały zmuszone do przyjęcia ochrony mniejszości).

O konsekwencjach tego stanu rzeczy mam zamiar pomówić osobno.

Parę tych wstępnych uwag pozwoliłem sobie wtrącić, by przypomnieć stronę prawną Konwencji Genewskiej.

Powróćmy do Konwencji. „Zarówno słuszność jak i utrzymanie życia ekonomicznego na Górnym Śląsku wymagają“, jak powiada uzasadnienie zawarte w tytule I części III K. G., „aby Rząd Niemiecki zobowiązał się do przyjęcia odnośnie do części G. Śląska, uznanej ostatecznie za część Niemiec, najmniej na okres przejściowy lat 15 posta-

nowień, odpowiadających art. 1, 2, 7, 8, 9, 10, 11 i 12 wspomnianego traktatu“ (o mniejszościach).

Art. 9 tego traktatu postanawia, że „w miastach i okręgach, zamieszkałych przez znaczny odłam obywateli języka innego niż polski, Rząd Polski udzieli w sprawach nauczania publicznego odpowiednich ułatwień, aby zapewnić w szkołach początkowych udzielanie dzieciom tych obywateli nauki w ich własnym języku“.

Z tego ogólnego zobowiązania, przyjętego przez Polskę w zakresie stosunków szkolnych, wyprowadza Konwencja Genewska szczegółowe przepisy, dotyczące organizacji mniejszościowego szkolnictwa na Górnym Śląsku.

Na 606 artykułów zaledwie 94 są poświęcone ochronie mniejszości. Mimo tego, jak praktyka wykazuje, punkt ciężkości roboty niemieckiej spoczywał od samego początku właśnie na sprawach szkolnych. Dr. Szczepański w swojej książce „Górny Śląsk“ podaje statystykę zażaleń, wniesionych do Komisji Mieszanej przez mniejszość niemiecką na polskim G. Śląsku na podstawie art. 149 K. G. Z niej to okazuje się, że w latach 1923—1928 wniesiono ogółem 428 zażaleń, z czego 327 w sprawach szkolnych (reszta 101 dotyczyła spraw gospodarczych, socjalnych itp). Dlaczego to Niemcy w swojej działalności najbardziej korzystali z uprawnień Konw. Genewskiej w dziedzinie szkolnej?

Czy może ilość zażaleń w sprawach szkolnych ma być dowodem ukrócania przez Polskę uprawnień mniejszości w tej dziedzinie?

Nie. Statystyka ta wykazuje tylko wymownie kierunek roboty niemieckiej na G. Śląsku.

Niemcy ocenili szkołę jako najlepsze narzędzie swej ekspansji narodowej wśród elementu polskiego. W ten sposób przepisy o ochronie mniejszości (ochronie mniejszości przed zakusami większości), stały się wygodną ochroną dla skutecznej, trzeba przyznać, przez pewien czas (do 1928 r.) niemieckiej inwazji na terenie szkolnym, mającej swoje główne oparcie w przewadze gospodarczej żywiołu niemieckiego. Jest to jeszcze jeden więcej przykład, jak przepisy (zresztą dość nieszczęśliwie sformułowane), powstałe z najlepszej może zresztą intencji ich twórców czy inspiratorów (mocarstwa zachodnie), stają się w ręku szaleńców, narzędziem groźnym dla większości (która skolei wymaga ochrony).

Zarówno traktat o mniejszościach jak i Konwencja Gen. stworzyły uprawnienia jedynie na rzecz „obywateli języka innego niż polski“ (art. 9 traktatu), oraz „uczniów (dzieci), należących do mniejszości językowej niemieckiej“ (Konwencja Genewska). Było

to również intencją inspiratorów i twórców międzynarodowych przepisów o ochronie mniejszości, by zabezpieczyć swobodny rozwój wartości kulturalnych i narodowych jedynie tym obywatelom, którzy istotnie do mniejszości etnicznych (rasowych), językowych, wyznaniowych, czy wkońcu narodowych (Konwencja Genewska) należą.

Nikt niestety z błogosławionych twórców nie przewidział, że przydałyby się również przepisy o ochronie większości przed mniejszościami, o których los tak się troszczyli ich zawodowi opiekuni w rodzaju Lloyd George'a i innych tygrysów wersalskich.

Niemcy w oparciu o siłę materialną, „swoiście“ interpretując art. 74, 106 i 131 Konwencji, nie przebiegają w środkach, byle zwabić i ściągnąć do szkół mniejszościowych jaknajwiększą liczbę dzieci. Skutki tej roboty niemieckiej, której brak odpowiedniej przeciwwakcji po stronie polskiej, nie każą na siebie zbyt długo czekać. W latach 1922 — 28 sukcesy ich są niewątpliwe. I tak wobec 68 szkół i 417 klas niemieckich w roku szkolnym 1922/23 mamy na Śląsku w roku szkolnym 1927/28 — 96 szkół oraz 479 klas z językiem niemieckim, co oznacza 14% młodzieży w szkołach niemieckich. Najbardziej katastrofalny rok 1926 daje 8.829 zgłoszeń do szkół niemieckich (100% więcej w stosunku do wpisów z roku 1925). Naskutek tego przykrego wyniku, polskie władze szkolne zarządzają sprawdzenie w drodze przesłuchania osób uprawnionych do wychowania (t. j. tych, którzy zgłoszeń dokonali), czy są one formalnie uprawnione oraz czy wnioski dotyczą dzieci, należących do mniejszości językowej niemieckiej. Wynik jest sensacyjny. Władze z 8.829 zgłoszeń unieważniają 7.114 i przekazują te dzieci do szkoły polskiej. To staje się podstawą zażalenia Niemieckiego Związku Ludowego najpierw do Urzędu Spraw Mniejszości, później, naskutek odrzucenia przez Rząd Polski stanowiska zajętego przez Prezydenta Komisji Mieszanej p. Calondera, do Rady Ligi Narodów, jako najwyższej instancji odwoławczej w sprawach mniejszościowych; wkońcu sprawa idzie przed Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze.

Od samego początku, tj. od roku 1922, Niemcy fałszywie interpretowali niektóre artykuły Konw. Gen. w szczególności art. 74, 106 i 131.

Punktem wyjścia było niewątpliwe, nawet niezbyt od słów w Konwencji użytych odbiegające twierdzenie, że szkoły mniejszościowe są przeznaczone dla dzieci, należących do mniejszości językowej niemieckiej. Różnica zdań i stanowisk polskiego i niemieckiego wystąpiła z całą siłą tak w teorii jak i „w praktyce“ szkolnej przy pytaniu, które to dzieci są niemieckie (należą do mniejszości) i jakie są kryteria oceny, które dziecko należy, a które nie należy do

mniejszości, które zatem może uczęszczać do szkoły mniejszościowej.

Trzymając się kurczowo dosłownego brzmienia artykułów 74 (władze nie będą badały, czy kto należy lub nie należy do mniejszości narodowej, językowej czy religijnej, ani też nie będą tej przynależności nikomu odmawiały) oraz 131, który mówi o ustaleniu języka ucznia, rozumiejąc w tem swój interes Niemcy tj. Niemiecki Związek Ludowy twierdzili uparcie, że artykuły te należy rozumieć w następujący sposób: o narodowości (języku) dziecka decyduje ostatecznie i bezapelacyjnie sam ojciec (czy inna osoba odpowiedzialna za wychowanie) przez złożenie pisemnego lub ustnego oświadczenia; oświadczenie takie (art. 131 Konw.) ma być jedyną i wystarczającą podstawą do przyjęcia dziecka do szkoły mniejszościowej i nie wolno go nikomu na świecie zaczepić (władze szkolne nie będą sprawdzały ani kwestjonowały tego oświadczenia“ ust. 2 gi art. 131 K. G.). A zatem, mówiąc prosto, (według Niemców): niemieckie jest to dziecko, co do którego np. ojciec oświadczy, że pragnie, by ono niemieckie było. Podanie języka niemieckiego jako języka ucznia ma oznaczać, że ojciec chce, by dziecko jego w tym języku naukę pobierało. Że taka wykrętna interpretacja była na rękę robocie niemieckiej na terenie szkolnym, nie muszę chyba bliżej tłumaczyć tym, którzy tej robocie zbliża się przypatrzeć. „Zaświadczenie takie, które ojciec złoży, jest aktem woli i choćby nawet nie pokrywało się z rzeczywistością (np. dziecko wcale nie zna języka niemieckiego), jest święte i należy je uszanować“ mówią Niemcy. Gdy się zaś wie, ile Niemcy płacą w gotówce czy w formie innych, całkiem konkretnych świadczeń za takie jedno oświadczenie, można mieć poważne wątpliwości, czy to nie wielkie opłacone oszustwo. Bo jak nazwać fakt, że tysiące dzieci polskich kupuje się całkiem poprostu za pracę, zapomogę, czy inną korzyść do szkół niemieckich. Inspektor szkolny z Lucerny (Szwajcaria) p. Maurer badał w r. 1927 język ojczysty 1755 dzieci, zgłoszonych do szkół mniejszościowych w 1926 r., i stwierdził, że 60% z nich nie zna wogóle niemieckiego języka. Dzieci te wracają do polskich szkół, bo język ojczysty ich — jest polski.

Wyrok Trybunału w Hadze z dnia 26. IV. 1928 r. w tej sprawie stwierdził to, co było dla Polski od samego początku niewątpliwe, że „deklaracje co do języka dzieci (art. 131 K. G.), zgłaszanych do szkół mniejszościowych, nie mogą się nie liczyć z faktycznym należeniem do mniejszości językowej i nie stanowią jedynie wyrazu woli osoby uprawnionej do wychowania co do tego, jaką szkołę i jaki język wykładowy (czytaj ojczysty) chce wybrać dla swego wychowanka.

Rada Ligi Narodów jak i Trybunał Haski ustaliły zatem zasadę w drodze wyroku niewątpliwą, że o przynależności do mniejszości nie może decydować oderwana od rzeczywistości wola jednostki, ale przynależność taka jest również kwestią faktu, którego wola zmienić nie jest w stanie, a jego zewnętrznym wyrazem (najbardziej może obiektywnym) jest język, którym się człowiek posługuje w życiu codziennym. I w tym znaczeniu można dopiero zrozumieć istotny sens art. 74, 106 i 131 Konwencji Genewskiej.

Ustalenie, choćby w drodze późniejszej interpretacji przez instancje międzynarodowe, kto ma, a kto nie ma prawa zaliczać się do mniejszości językowej czy narodowej, ma tem większe znaczenie, jeśli sobie uprzedzimy, że przed każdym, kto należy do mniejszości, stoi otworem szeroka, choć już trudna, droga skarg do organów międzynarodowych. Tak bowiem Konwencja jak i traktaty mniejszościowe stoją pod gwarancją Rady Ligi Narodów, a procedura (t.j. sposób wnoszenia i rozpatrywania skarg i zażaleń) ochrony mniejszości jest dziś już po 15 letnich doświadczeniach — czysto zresztą teoretycznie — łatwo dostępna, tak dla jednostek jak i grup mniejszościowych.

Wyrok Trybunału Haskiego powinien być niewątpliwie położyć tamy niemieckiej agresji na terenie szkolnym Górnego Śląska. Niestety nie zarzucają oni swych metod i posługują się dalej szkołą mniejszości dla swej ekspansji na G. Śląsku choć, co trzeba stwierdzić, z mniejszym już skutkiem. Ilość bowiem zgłoszeń do szkół mniejszościowych wyraźnie maleje. I znowu rok 1934 jest rokiem wyjątkowo wzmożonej agitacji niemieckiej za szkołą mniejszości i daje znów większą ilość zgłoszeń. Władze polskie ponownie stosują w całej pełni zasadę sprawdzania stopnia znajomości języka niemieckiego u zgłoszonych dzieci. Rezultat podobny jak w 1927 roku. Znowu się okazuje, że 60% dzieci nie zna języka niemieckiego. Egzaminy, którym odtąd poddawane są wszystkie dzieci zgłoszone (wpisane czy przeniesione) do szkół niemieckich, przeprowadzają z ramienia Komisji Mieszanej Komisje Parytetyczne, złożone z dwóch członków, jednego Polaka, drugiego Niemca. Jeśli członkowie nie uzgodnią swych ocen (czy dziecko „włada“ czy „nie włada“ językiem niemieckim), decyduje ostatecznie opinia supereksperta Komisji Mieszanej, który jeszcze raz dziecko egzaminuje.

Nasuwa się na tem miejscu jeszcze jedna uwaga. Największą pozycję przy zgłoszeniach stanowią nie wpisy (dzieci z rocznika najmłodszego), ale przeniesienia dzieci ze szkół polskich do szkół niemieckich, jako wyłączny prawie rezultat agitacji niemieckiej. Wyrok Haski, o którym mówiłem wy-

Polegli w Krakowie.

Sztandary — sztandary

Jak krew

U wysokich drzew

wieją.

Tłum za niemi szary

kroczy koleją,

Niemrawo się kolebie.

— . —

Dzwony nie dzwoniły

Na pobitych pogrzebie —

ostatniej przecząc postugi.

A szkoda!

Bo raz drugi

okazji braknie.

Kto z możliwych zemrze,

Aby szły tak wielkie rzesze?

— . —

Gdy ich chowali,

Była pogoda.

Bezczelnie ku własnej uciezce

Szły w kondukcje pasibrzuchy —

złote noszące łańcuchy...

Wieniec sprawili —

I ani jeden z tych pyskaczy,

co lud powiódł na bunt,

Rozpętał w rozpacz

I oślepił goryczą

Nie legł od pocisku jak pies!

Ich pyskująca podłota

Przetrwiała burzę,

Za trumnami szła,

z ludzkiej niedoli

Znów splekli wieniec —

Tchórze!

— . —

Sztandary — sztandary

u wysokich drzew

Nad światem

Jak krew.

Czy z wami przyjdzie rano

I chleb?

W słońcu drapieżnie wieją

A za niemi kroczy

Lud roboczy

czarną i brudną koleją...

Czy zmartwychwstaną

w dniu braterskiej biesiady

Duchem

ci dzisiaj pogrzebani?

zej, był połowiczny. Wymagało ustalenia jeszcze jedno: Raz zdyskwalifikowane od uczęszczania do szkoły mniejszościowej dziecko (na skutek egzaminu) nie powinno być więcej do szkoły mniejszościowej dopuszczane. Skoro bowiem raz stwierdzono, że dziecko języka niemieckiego nie zna (tzn. że jest polskie), nie powinno się tolerować w żadnym wypadku, by to samo dziecko za rok czy dwa lata, poduczone przez pokątnego volksbundowego nauczyciela języka niemieckiego, znalazło się w szkole niemieckiej. Na egzaminy, nieprzewidziane w Konwencji, Niemiecki Związek Ludowy się zgodził. I wtedy zmieniono metody. Niemcy rozpoczęli masową, pokątną, tajną naukę języka niemieckiego,

by dzieci, które mają być zgłoszone do szkół mniejszościowych, przygotować do egzaminu z języka niemieckiego, by je „przysposobić“ do szkoły mniejszościowej. Dziecko bowiem, które jest polskie, nie może się stać w Państwie Polskiem niemieckiem przez to, że go się paru niemieckich słów nauczy. Gwałtu dokonywanego na polskim dziecku, nie należało tolerować. W walce o zwycięstwo dla tej sprawy należało pójść choćby przed najwyższe instancje międzynarodowe.

Te oto uwagi nasuwają się w przededniu ostatnich na podstawie Konwencji wpisów do szkół mniejszościowych na Górnym Śląsku.

Mgr. ALEKSANDER MODES.

Czy aljans z Niemcami?

W „Buncie Młodych“ z dnia 25 stycznia br. ogłosił p. Adolf Bocheński niezwykle interesujący artykuł p. t. „Tradycyjny aljant“. Celem artykułu była odpowiedź na pytanie, „czy Francja zawsze była gotowa poświęcić Polskę dla swych ewentualnych silniejszych sprzymierzeńców przeciwniemieckich“. Z tak postawionego zadania wywiązał się autor znakomicie. Przez b. zręczne, a z wielkim znawstwem rzeczy zrobione zestawienie faktów historycznych, faktów, poświadczonych naukowymi badaniami naszych historyków ostatniej zwłaszcza doby, dowiódł p. Bocheński ponad wszelką wątpliwość, że w ciągu dziejów Francja zawsze poświęcała Polskę dla innego, cenniejszego w danej chwili sprzymierzeńca. Co więcej, tradycyjny aljant nie tylko poświęcał Rzeczpospolitą, ale dyplomacja francuska nie cofała się przed żadnymi szalbierstwami, czy najbrudniejszym mąceniem spraw Rzeczypospolitej, jeśli leżało to na linii interesów francuskich. Pisząc powyższe, nie czyni p. Bocheński zarzutów Francji, nie zamyka też oczu na to, ile w tem wszystkim mieści się winy samej Polski (że wskazemy choćby panowanie pierwszego z Wazów, którego haniebna polityka habsburska zmarnowała tyle pierwszorzędnych okazji na różnych frontach polityki zagranicznej Rzeczypospolitej).

Bocheński nie ogranicza się jednak wyłącznie do zestawienia faktów historycznych, ale w końcowych ustępach artykułu wyciąga z nich wnioski. Wniosek brzmi: Francja dzisiejsza będzie zawsze szukać silniejszego od Polski sprzymierzeńca przeciw Niemcom i zawsze skłonna będzie poświęcać dla niego sprawy Polski. Sprzymierzyńca takiego znalazła Francja w Rosji Sowieckiej. (Istotnie w chwili bieżącej jesteśmy po ratyfikacji paktu z Rosją). Mimo znalezienia tak pożądanego sprzymierzeńca Francja nadal będzie sobie życzyć pomocy polskiej przeciw Niemcom, gdyż wy-

nika to z założenia francuskiej racji stanu, założenia możliwie największej liczby aljantów przeciw Niemcom. Ale ten polski sojusznik będzie odtąd zawsze na drugim planie, — co więcej, dyplomacji francuskiej będzie chodzić o to, aby Polska znalazła się w orbicie wpływów politycznych rosyjskich. Wywody kończy autor wnioskiem, że jest możliwość, aby Polska w antyniemieckich koncepcjach polityki francuskiej zajmowała pierwsze miejsce. Możliwość ta zaistniałaby wtedy, gdyby Rosja Sowiecka uległa rozpadowi na szereg państw narodowych, ciążących z natury swej słabości ku Polsce. W tym jednym wypadku mogłaby Polska w rachubach Francji zdystansować Rosję. Droga zatem z Warszawy do Paryża, powiada Bocheński, prowadzi jedynie przez Kijów, Odessę i Mińsk.

Ogarniając jeszcze raz rzutem oka wywody i wnioski Bocheńskiego, stwierdzić trzeba, że to co napisał jest przedewszystkiem prawdziwe. Droga do Paryża, wiedzie, zdaniem autora, przez Kijów, Odessę i Mińsk. Powyższem twierdzeniem zakończył Bocheński swój artykuł bez wyciągania dalszych wniosków. Czytelnik

CZYTELNIKÓW, zalegających z opłatą prenumeraty, powiadamy, że niewpłacenie należności za ubiegłe okresy spowoduje wstrzymanie wysyłki pisma z dniem 1 maja br.

ADMINISTRACJA

jednak ma prawo a nawet musi wysnuć dalszy wniosek. Jaki? Ponieważ zarówno w bliższej jak dalszej przyszłości nie zanosi się, aby Rosja rozpadła się na szereg republik narodowych — to chyba jest bezsporne — przeto, idąc śladem rozumowania p. B., trzeba stwierdzić, że linja wytyczna polskiej polityki zagranicznej nie leży na szlaku przymierza z Francją. Jeśli zaś ktoś odrzuca ze względów, z jakich zrobił to p. B., koncepcję przymierza Polski z Francją a pośrednio z Rosją, to w konsekwencji wybrać musi aljans z Niemcami, bo z kimś współdziałać jednak trzeba. I tu dochodzę do sedna niniejszego artykułu. Chodzi mi bowiem o odpowiedź na pytanie, czy jest możliwy aljans polsko-niemiecki, a jeśli nie, to jakie inne bardziej trwałe i realne winniśmy tworzyć przymierza.

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że szczególne położenie geopolityczne stawia w bardzo trudnem położeniu polską politykę zagraniczną; że jest rzeczą bardzo trudną i że trzeba nadwyzwyczaj wnikliwej intuicji oraz talentu, aby w takich warunkach wypracowywać myśli przewodnie dla polityki zewnętrznej, zwłaszcza gdy uwzględni się chaos, jaki obecnie panuje w stosunkach międzynarodowych na całym świecie. Zdaję sobie sprawę z tego, że koncepcja zbliżenia (dobieram nazwy ostrożnej) polsko-niemieckiego ma pewien zastęp zwolenników wśród naszych publicystów i polityków, że wreszcie można przy pomocy całkiem rozumnych argumentów wspomnianej koncepcji bronić. Mimo tego wszystkiego jestem do głębi przekonany, że aljans polsko-niemiecki nie jest możliwy i w aljans taki nie wierzę. Dlaczego? Z tej prostej przyczyny, że między Polską a Niemcami jest zbyt wiele spraw spornych.

Pozwolę sobie owe sprawy krótko scharakteryzować. Zaznaczam przytem, że pomijam w tym wypadku zagadnienie dziejowego antagonizmu obu narodów, kwestję ułożenia się gospodarczych i politycznych stosunków polsko-niemieckich od chwili podpisania t. zw. paktu o nieagresji i protokołu o zakończeniu wojny celnej (gospodarczej), sprawę polityki rządu niemieckiego wobec mniejszości polskiej w Niemczech, oraz sprawę mniejszości niemieckiej w Polsce, gdyż to zależy głównie od mniej lub więcej sprytnego i sprawnego rozwiązywania danych zagadnień. Przez polsko-niemieckie sprawy sporne rozumiem te problemy, jakie powstały między obu krajami w wyniku ukształtowania się granicy polsko-niem. po wojnie światowej.

Ktokolwiek weźmie do rąk mapę Polski, od razu rzuci mu się w oczy bardzo dziwaczne oraz groźne na przyszłość zjawisko. Oto państwo o 35 milionach ludności i 388000 km² obszaru posiada dostęp do morza na linji o długości zaledwie 146 km., co wynosi około 3% długości granic. Co

więcej, dostęp do granicy morskiej z obu stron sąsiaduje z terytorjami niemieckimi, przecinając w ten sposób bezpośrednie połączenie Prus Wsch. z Rzeszą. Jakież z powyższych faktów płyną wnioski? Jeden główny, a mianowicie, że opisany stan rzeczy za żadną cenę nie da się utrzymać na dalszą metę i to z dwóch głównie względów.

Jest rzeczą pewną, że Niemcy prędzej czy później dążyć będą do połączenia Prus Wsch. z „Macierzą“ choćby z tej przyczyny, że kraj, o którym mowa, przez odcięcie od Rzeszy bardzo na tem cierpi, zwłaszcza gospodarczo, o czem świadczą setki milionów marek, jakie rocznie gospodarstwo niemieckie dopłaca do Prus Wsch. Gdy zaś z szerszej perspektywy rozpatrujemy stosunek Niemiec, a zwłaszcza Trzeciej Rzeszy do t. zw. spraw wschodnich, to w ideologii hitleryzmu dojrzymy niezmiernie jasne i wyraźne określenie tego stosunku, a mianowicie w hasle o terytorjalnej ekspansji Niemiec i o potrzebie zjednoczenia wszystkich Niemców, mieszkających tak w granicach jak poza granicami Niemiec. Według zatem tej ideologii chodziłoby nietylko o odzyskanie krajów, zwróconych Polsce po wojnie światowej, ale jeszcze o coś więcej. Ostatnie wypadki w Nadrenji dość wymownie ilustrują kolejność realizacji wspomnianych co dopiero punktów ideologii hitlerowskiej.

Ale to, co wyżej powiedziałem, jakkolwiek jest ważne, nie stanowi istoty problemu zawartego w pytaniu, czy jest możliwy aljans polsko-niemiecki. Właściwy i najgłębszy sens sprawy leży w tem, że gdyby nawet Niemcy mieli szczerzy zamiar i to na długą metę utrzymania z Polską stosunków pokojowych, czy nawet bliższego współżycia, to Polska będzie musiała dążyć do odzyskaniu Prus Wschodnich, gdyż odzyskanie tego kraju może dopiero wytworzyć normalne stosunki między temi dwoma państwami. Jest bowiem nie do pomyślenia, aby Polska mogła tolerować tak ze względów strategiczno-politycznych, jak gospodarczych stan rzeczy, jaki po wojnie światowej wytworzył się nad północnymi granicami Rzeczypospolitej. Powyższe uważam za tak oczywiste i jasne, że przeprowadzanie jakichś szczegółowych dowodów wydaje mi się zbyteczne. Ale oprócz tego zasadniczego momentu jest jeszcze inny o charakterze politycznym i emocjonalnym, dla którego Polska nie może się wiązać przymierzem z Niemcami. Mam tu na myśli ten fakt, że w granicach Niemiec mieszka ponad milion Polaków (głównie na Śląsku i Prusach Wschodnich). Obowiązek przyłączenia do Polski ziem zamieszkałych przez wielkie skupienia polskie, ziem, do których zresztą mamy pełne historyczne prawa, jest jednym z najważniejszych przykazań narodowych, przykazań, wynikających między innemi ze smutnych doświadczeń historycznych. Oto drugi powód, dla któ-

rego w możliwość aljansu polsko-niemieckiego nie wierzę.

Skoro tedy sojusz z Niemcami, w mojem najgłębszem przekonaniu, jest niemożliwy, jakich innych i to przeciwniemieckich aljantów, bo tak odrazu trzeba postawić sprawę, winna szukać Polska? Uważam, że naturalnym sprzymierzeńcem Polski jest Rosja. Dlaczego? Przedewszystkiem jako wschodni sąsiad Polski i to sąsiad, z którym nie mamy żadnych spraw spornych. Rosja nie ma bezpośredniego interesu w wojnie z Polską, gdyż nie zależy jej na zdobywaniu nowych terytoriów. Można z wielkiem prawdopodobieństwem twierdzić, że Polska na długi czas nie będzie dążyć do podbojów na wschodzie, choćby z tej prostej przyczyny, aby w nasz organizm państwowy nie wchłaniać nowych mas mniejszości ruskich, których już dziś mamy 7 milionów. Ale jest jeszcze inny ważniejszy powód, dla którego Rosja nie może chcieć wojny z Polską. Jest nim niebezpieczeństwo japońskie, które dla Rosji istnieje nieprzerwanie od końca XIX. w. Wynika ono z ekspansji Japonji na zachód. Ekspansja zaś ta wyłania się już na czoło polityki japońskiej a w przyszłości stanie się centralnym jej problemem. Japonja bowiem, mając blisko 100 milj. ludności, zgniecionej w liczbie około 1000 mieszkańców na 1 klm², musi dążyć do zdobycia nowych terenów kolonizacyjnych na zachodzie. Na tem tle aneksję Mandżurji należy uważać jedynie jako kwestję czasu. Warto dodać, że niedwuznacznym przejawem poglądów, nurtujących w tych kwestjach młode pokolenie japońskie, był ostatni „pucz“ tokijski. Tak zatem ze względów politycznych, ludnościowych, gospodarczych i socjalnych polityka Japonji wobec Rosji rozwijać się będzie na długą przyszłość w perspektywie wojny. Sądzę, że jest to wystarczająca przyczyna, dla której Rosji winno zależeć na czemś więcej niż na zwyczajnej sąsiedzkiej lojalności ze strony Polski. Sądzę, że istnieją wystarczające warunki, aby między Polską a Rosją doszło do bliższego porozumienia. Dla Rosji Polska może być cenniejszym sprzymierzeńcem (a już conajmniej równie wartościowym) od Francji.

Na takim podłożu winno fundować się przymierze Polski z Francją, z tą Francją, która tyle razy zdradzała nas w dziejach, a która tak czy owak już z przyczyn czysto geopolitycznych jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem przeciw Niemcom. Ponieważ od odzyskania niepodległości tak wiele popełniliśmy błędów w naszym stosunku do Francji, która tak często traktowała nas nie jako równego, ale jako zależnego od siebie sojusznika, przeto tem usilniej musimy baczyć, aby tego rodzaju zjawiska już się nie powtórzyły. Gwarancją zaś tego, że sojusz polsko-francuski opierał się będzie wyłącznie na stosunku równości, będzie w pewnej mierze to, czy

AUGUSTYN SUSKI

U brzegu.

*W imie Ojca i Syna
i Ducha Świętego,
Amen.*

*Ty widzisz, Panie,
jako się moje dni minieny,
jako jek dzisiok som
u brzegu
przepaści stanon —
Próżny kaganek.*

Gasne.

*Ino mie teroz cosi
wse
ku ciemni strasnej —
dołu —
ponosi,
pre,
ciągnie, jak ołów...*

*Na ostrzyk zębcał hań,
na krzesanicak żlebu
krzyk ludzki zakamienioł,
kie darł się w grań,
ku niebu.*

*I jobyk jesce rod
pokiłak tu i młody —
ku ciemni tej załobnej
iść,
obudzić ludzki krzyk
zakamieniały w grani
i puścić go
ku Tobie
Między Ty Mocny
Kany...*

Od Redakcji: Wprowadzamy na łamy naszego pisma młodego poetę podhalańskiego, którego znanym uczynił wybór liryk i piękny, głęboki a pełen bolesnej i ponurej prawdy „List ze wsi“, pomieszczone w „Marchołcie“ (1935, II., 1.). Wartości treściowe i formalne, jakie wiersze te reprezentują, zawierają niewątpliwie zapowiedź dalszego rozwoju i spotkają się zapewne z życzliwym przyjęciem czytelników.

będziemy tu mieli na własną rękę zawierać trwałe i celowe a nie iluzoryczne sojusze.

Mówię w pewnej mierze, gdyż najpewniejszą gwarantką zarówno całości granic jak i stałości wszelkich przymierzy jest zawsze własna moc i potęga, o czem tak często zapomina się w dyskusji na temat naszej polityki zagranicznej. Jeśli mocarstwo-wość nasza nie będzie pozorna, ale rzeczywista, to z zawieraniem korzystnych aljansów nie będziemy mieli

trudności. Bezspornym zaś jest fakt, że mocarstwo państwa polskiego może się opierać wyłącznie na sile i potęgę narodu polskiego, bo on jedynie broń będzie całości tego państwa i rozszerzał jego

granice. I łudzą się ci wszyscy, którzy sądzą, że wielkość i bezpieczeństwo Polski można oprzeć poza narodem polskim jeszcze na innych czynnikach.

ALOJZY TARG.

Przeszkody w odbiorze.

Niejedna statystyka zdołała już wykazać, że upodobania szerokich rzesz czytelników polskich ciężko ku pisarzom mało wartościowym a częstokroć i wogóle żadnych wartości nie reprezentującym. Jeśli wśród Dell'ów, Marczyńskich, Zarzyckich czy Wallace'ów zabłąka się gdzieś nazwisko Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Prusa to możemy być pewni, że w wywyższeniu tem partycypuje przede wszystkim a w dużej mierze mimowoli młodzież, która pewne książki tych pisarzy przeczytać musi. Conajwyżej możemy się cieszyć, że ta konieczność wetknęła jej do ręki oryginał a nie skrótowe namiastki z objaśnieniami domorosłych krytyków.

Najczęściej może przytaczanym na fakt ten dowodem jest powieść dziennikowa, drukowana w codziennych odcinkach lub tygodniowych dodatkach. Kulturalny człowiek niejednokrotnie staje zdumiony i bezradny wobec pytania: dla kogo to przeznaczone? Jeszcze niektóre dzienniki stołeczne mogą się wylegitymować drukiem pierwszorzędnym czy chociaż drugorzędnych pozycji naszej czy zagranicznej literatury współczesnej. Ale pozatem — nawet wysoko redakcyjnie postawiony dziennik, dysponujący funduszami drukuje najpodlejsze sensacje kryminalne. Jedna rzecz jest tu jasna. Czytelnik, który raz zaczął o odcinek takiej powieści, łatwo się nie uspokoi, najczęściej zostanie tak zaintrygowany, że z prostej ciekawości czyta dalej porcję za porcją. Pod tym względem większość tych powieści wykazuje pierwszorzędne zalety. A o tę właśnie stronę chodzi. Zręcznie postawiona zagadka kryminalna potrafi zaintrygować nawet zasadniczego przeciwnika tego rodzaju literatury. Więc kupuje i czyta. Dopiero wyjątkowa płytkość lub przymusowa przerwa, pominięcie kilku odcinków wpływa na niego otrzewiająco.

Stan ten nie jest bez znaczenia. Jest to lektura, docierająca do warstw najszerzych i docierająca najczęściej. Charakter jej musi wywierać znaczny wpływ na kształtowanie się literackich gustów i zamiłowań społeczeństwa. A wpływ ten jest obecnie w 99% zdecydowania ujemny. Z jednej strony bowiem psuje to smak i zmienia zainteresowania czytelnika przygotowanego umysłowo do lektury innego typu, z drugiej zaś oddziaływa destrukcyjnie zamiast wychowawczo i kształcąc na te kategorie czytelników, u których odpowiednie zamiłowania i głębsze

zainteresowania dałyby się wyrobić drogą lektury, pobudzającej ich do myślenia, otwierającej im szersze i powabniejsze horyzonty. Nie można też pominąć i tego faktu, że na tym gatunku literackim „kształci się” i w obcowaniu z nim wzrasta młodzież, dla której dziennik normalnie jest zawsze łatwo dostępny.

Sprawę zaprzepaszcza do reszty t. zw. krytyka literacka. Chodzi tu również przede wszystkim o krytykę dziennikarską, którą w myśl jej założeń i zdradanych od czasu do czasu tendencji możnaby nazwać krytyką orjentującą. Odnacza się ona tem, że książkę, której cała „wartość” leży w interesującej fabule, a więc powieść sensacyjną, rozkłada zmiejsza przez streszczenie, pozbawiając tem samem czytelnika jedynej dostępnej w takich wypadkach emocji, powieść wartościową zaś obdziera do naga, przedstawiając czytelnikom sam jej szkielet — również fabułę z dodaniem na wstępie, że książka taka ukazała się, następuje po takiej a takiej, jest tą a tą skolei, i w zakończeniu, że warto przeczytać i tyle.

Krytykę taką spotykamy w dziennikach najczęściej. W jednym książce poświęca się dziesięć wierszy petitu, w innym pięćdziesiąt lub w odniesieniu do pewnych książek nawet całe feljetony. Fakt pozostaje jednak zawsze ten sam. Nieprzemyślana i nie pobudzająca do myślenia ocena, nie oświecenie zasadniczych zagadnień, ale informacja, tyle tylko żeby czytelnik wiedział, jakie tam może znaleźć sceny.

Te dwie gałęzie naszego dziennikarstwa są sobie najzupełniej godne. Stoją na jednym poziomie, uczą czytelnika bezmyślności, zamykają mu oczy na prawdziwe walory treści i formy, zaprzepaszczają w nim zamiłowanie do piękna.

Zasadniczo jest to wytłumaczalne. I jedno i drugie spoczywa w rękach wyrobników pióra. Zwłaszcza są nimi krytycy. Zmuszeni do dawania pewnego kontyngentu sprawozdań w ustalonych terminach odstawiają je w pioronującym tempie, nie mają czasu na zbliżenie się do czytanego utworu i wzbudzenie się weń. Te ich wady przechodzą na czytelników.

Jest to tem groźniejsze, że zainteresowanie krytyką wyższego typu jest u nas niewielkie. Ludzie szukają poomacku. Z ulgą witają pojawienie się

książki znanego już autora. Pozatem chodzą do wypożyczalni, biją się o książki nierozcięte, przerzucają z miejsca na miejsce stopy, leżące na stole. Tę dezorientację wykorzystują wydawcy. Gdy jakiś autor „chwyci” — zaczyna iść serjami. Naprzód dalsze ciągi, potem wszystkie głupstwa, które napisał poprzednio, a później nowe, partaczone w pośpiechu, byle jeszcze uchwycić koniunkturę.

Naogół więc rynek czytelniczy w Polsce jest zadziwiająco chłonny na wszelkiego rodzaju miernoty i to zarówno rodzime jak importowane. Jeśli od czasu do czasu zdarzy się sposobność zaobserwowania większego zainteresowania jakimś naprawdę wartościowym pisarzem, to w olbrzymiej większości jest to koniunktura sztuczna, bo spowodowana wyróżnieniem pisarza przez udzielenie mu jakiejś tam nagrody. Ale nagród tych jest dziś już tak spora ilość, że i ten środek zacznie niedługo zawodzić. Odznaczenia, Wawrzyny, czy nawet awans do Akademii Literatury już żadnego wrażenia nie wywołują i robią tylko ruch w niektórych odłamach prasy codziennej i literackiej, która okłamuje się jeszcze wrażeniem, że mają one jakieś istotne znaczenie.

Mógłby ktoś z powyższych wywodów wnioskować, że pragnęłoby się z całego społeczeństwa uczynić naród literatów, czytających tylko książki o bezspornych i trwałych wartościach, a przecież literatura dla mas to musi być literatura popularna, przecież wszędzie jest tak samo, skoro tyle mamy marnych przekładów i t. p.

Byłaby jednak tylko częściowa racja w tych zarzutach. Ale co powiedzieć, jeśli człowiek z wyższym wykształceniem, przygotowując sobie niedzielną lekturę, gwałtownie poszukuje najnowszej książki pani Dell? Co powiedzieć, jeśli człowiek taki nie bierze powieści historycznej, bo to „za ciężkie” lub nie odczuwa zupełnie potrzeby przeczytania od czasu do czasu kilku dobrych wierszy, jeśli wystarczy mu poezja tang i foxtrottów czy też pism satyrycznych? Są to objawy niestety nierzadkie i wypadki

bynajmniej nie odosobnione. Czego więc możemy wymagać od warstw stojących niżej pod względem przygotowania intelektualnego, jeśli element najwyższej stojący kulturalnie w ten sposób do spraw sztuki się odnosi?

A jeśli chodzi o te „warstwy niższe”, o rzesze czytelników o niewielkiem przygotowaniu umysłowym, to rzecz jest bezsporna, że potrzeba im lektury specjalnego typu, że muszą one mieć literaturę popularną, dającą równocześnie pierwszorzędne wartości ideowe i formalne. Przytem jednak stwierdzić należy, że linia graniczna, którą stanowi egzamin dojrzałości czy świadectwo kilku klas szkoły powszechnej, nie jest murem, poza który książka, będąca poważną pozycją literacką, nie przekroczy. Znajduje ona tam właśnie poza temi pozornymi granicami oddźwięk niejednokrotnie głębszy, niż w warstwach umysłowo uprzywilejowanych. Niema dla niej w tym kierunku zasadniczych ograniczeń, jakkolwiek zawsze będzie sporo takich dzieł, które poza elitę wyjść nie zdołają. Odpowiednio postawiona praca oświatowa, należycie prowadzona polityka kulturalna otworzyć może literaturze nowe drogi zdobywczej ekspansji, jeśli literatura ta, trafiając do umysłów, potrafi równocześnie trafić do serc robotniczych i chłopskich.

Ale obecny bieg i kierunek naszej polityki kulturalnej każe możliwości te odesłać na niewiadomo jak długi czas w strefy marzeń lub zgoła utopij.

A w sferach t. zw. inteligencji obserwujemy głęboki i powszechny upadek kultury literackiej. Książka tam, gdzie jest potrzebą pilną i odczuwaną, trafić nie może, tam, gdzie jest często tylko burżujskim snobizmem, znajduje się w ilości, doprowadzającej do przesytu.

Literatura polska i sztuka musi sobie dopiero wychować odbiorców, musi w tym kierunku podjąć trud niemal pionierski. W odniesieniu do inteligencji trud ten jest już tu i ówdzie podejmowany.

Ale co będzie z resztą? Z tą najważniejszą?

ZDZISŁAW HIEROWSKI.

Problem cieszyński a Czesi.

Ostatnio pojawiły się na półkach księgarskich dwie książki, traktujące o Śląsku Cieszyńskim i stosunkach między Czechami a Polską. Pierwsza z nich to „Die Teschener Frage” Kurta Witta, drukowana w Berlinie w 1935 roku, druga zaś to „Czesi” — Tomasza Janowicza, wydana w bieżącym roku w Krakowie.

Pierwsza z prac to dzieło obszerne, wydane ozdobnie z licznymi mapami i wykresami w tekście, opracowane wyczerpująco, uwzględniające niemal całość

literatury tak niemieckiej jak w innych językach, wydanej dotychczas w sprawie cieszyńskiej.

Na wstępie autor ubolewa, że Niemcy tak mało uwagi poświęcają problemowi cieszyńskiemu, choć przecież przez pół tysiąca lat panowali nad tym krajem, który jest bramą środkowo-wschodniej Europy. Ubolewa również w dalszym ciągu swej pracy, że od 90-tych lat ubiegłego stulecia dzięki budzeniu się ducha narodowego wśród Polaków,

Niemcy, którzy dotąd na Cieszyńskim dominowali pod każdym względem — coraz więcej tracą grunt pod nogami.

Od początku więc odsłania autor swe oblicze. Nie chodzi mu w problemie cieszyńskim, o końcowy efekt sporu polsko-czeskiego, lecz o to, co zyska przy tem trzecia strona — niemiecka. Toteż w końcu dzieła wyraźnie stwierdza, że „minimum, którego Niemcy przytem mogą i muszą żądać, jest właściwe traktowanie na Cieszyńskim ich ziomków i ich przyjaciół“.

Ponieważ narazie Niemcom powodzi się w Czechosłowacji gorzej niż w Polsce, autor, zdaje się, uznaje to za dostateczną przyczynę, aby w swej pracy zaznaczyć wyraźnie swe niezadowolenie z Czechów.

Niemniej jednak stwierdza rzeczowo, że Czesi w historii popełniali grube błędy i że dziś popełniają je również. Pozycja Czechów jest zdaniem autora, wyraźnie słabsza aniżeli Polski.

Z wielką dozą obiektywności stwierdza, że Niemcy przed wojną uzyskiwali do Sejmu opawskiego większość tylko dzięki skomplikowanym wyborom kurjalnym. Również ocenia z uznaniem działalność na Śląsku zaolzańskim b. konsula generalnego w Morawskiej Ostrawie — Malhomma.

Miejscami ponosi Witta germańska krew wobec ruchliwości Polaków na Ziemi Cieszyńskiej. Robi ówczesnym władzom austriackim zarzut krótkowzrocznej polityki, że pozwoliły napływać z Małopolski nauczycielstwu polskiemu, że pozwolono zamiast państwowego hymnu austriackiego śpiewać w polskich szkołach polską rewolucyjną pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“. Z przekąsem mówi o wycieczkach Polaków z Cieszyńskiego do „głównego miasta Polski — Krakowa“. Uważa, że władze austriackie popełniły niewątpliwy błąd, że pozwoliły legjonom Piłsudskiego właśnie na Ziemi Cieszyńskiej przygotowywać się do wymarszu na front. Wprost po hitlerowsku atakuje polskich socjalistów, których nazywa elementem wybuchowym. Wreszcie nie może darować Radzie Narodowej w Cieszynie, że odbierając dzieci polskie niemieckim szkołom, rzuciła hasło: „Polskie dziecko do polskiej szkoły!“ Oczywiście jako wszechniemiec chciałby chętnie widzieć obce dzieci w szkole niemieckiej.

Mimochodem też nie zapomina uchylić kilkakrotnie czapki wobec znanego germanofila Studnickiego z Wilna.

Za przyjaciół Niemców, którzy chętnie swe dzieci oddawali na Śląsku do szkoły niemieckiej, — uważa Witt t. zw. Ślązakowców, którym też poświęca wiele stron swego obszernego dzieła. Ślązakowców nazywa krótko „Slonzaken“. Określa ich jako autochtoniczną ludność Śląska, mówiącą po polsku, lecz czującą po niemiecku. Przyrównuje ich do przedwojennych „Wasserpolaków“ na Górnym Śląsku. Uważa, że pobudką do założenia osobnej partji Ślązakowców było poczucie mieszanej kultury niemiecko-słowiańskiej tej grupy ludności, która odznaczała się „miłością do niemieczyzny“ w przeciwieństwie do uświadomionej narodowo polskiej ludności śląskiej. Z tego, że było rzeczą conajmniej nieuczciwą napędzanie ludności polskiej w ramiona niemieczyzny przy pomocy prasy polskiej, a dzieci polskich do niemieckiej szkoły, jak to czyniła partja Ślązakowców — autor nie zdaje sobie sprawy.

Powstanie tej partji należy też głównie przypisać osobistym ambicjom jej prowodyra Koźdonia. Takie też dzieło oparte na dążeniach do zysków materialnych, osobistych ambicjach jednostek i nieuczciwości nie mogło być trwałem. Toteż po ogłoszeniu demonstracyjnej deklaracji w sprawie żądania utworzenia śląsko-cieszyńskiej republiki — partja ta na polskiej części Śląska smutnie skończyła swój żywot.

W każdym razie Witt stwierdza bez osłonek, że tego rodzaju robota wychodziła z wielkim pożytkiem dla niemieczyzny na Śląsku.

W pracy Witta należy podkreślić szereg błędów. Powtarza on za niemieckimi powagami naukowymi, że górale beskidzcy są zapomnianymi resztkami wschodnio-germańskich osadników, jakkolwiek na innej stronie sam się poprawia i mówi, że są to potomkowie ludu słowiańskiego. Nie jest ściśsem jego twierdzenie, że w styczniu 1919 r. w czasie inwazji czeskiej na Śląsk Cieszyński, tylko kilka osób z Dr. Janem Michejdą zostało aresztowanych, gdyż Czesi internowali wówczas w większości wsi po 1 — 2 i więcej osób. Mylnie tłumaczy Witt znaczny przyrost ludności polskiej na Śląsku zaolzańskim w 1931 roku w stosunku do 1921 roku. Nie przyrost naturalny, lecz tendencyjne spisy czeskie w 1921 roku zmniejszające liczbę Polaków wywołały dużą różnicę.

A już błędem nie do przebaczenia jest, jak podaje Witt, że Polacy w Czechosłowacji od 1920 roku nie mieli żadnego czasopisma i że dopiero w 1934 roku Konsul Malhomme założył tam jedyną gazetę polską

Prenumerujcie i rozszerzajcie „Kuźnicę“

jedyny społeczno-literacki miesięcznik na Śląsku

„Dziennik Polski“. Wychodziło bowiem i wychodzi w Czechosłowacji szereg tygodników i miesięczników polskich.

Również jest dużym błędem autora twierdzenie, że dopiero w dniu 3 lutego 1919 roku cywilna ludność polska zaczęła walczyć z Czechami, po wydaniu przez aliantów zarządzenia cofnięcia wojsk czeskich z nad Wisły na Zachód. Inwazję czeską już w styczniu wstrzymywali polscy robotnicy z Trzyńca i Karwiny. Nie wiadomo też, skąd autor zaczerpnął błędne informacje, że część Cieszyna, znajdująca się obecnie w Polsce, została „przechrzczone na Polski Cieszyn“, lub że polskie gimnazjum w Orłowej zostało w 1935 upaństwowione.

Pomimo tych zresztą nie zasadniczych błędów, wnioski autora są trafne. Uważa on, że Polska ma nie tylko etniczny interes w tem, aby skupić w swych rękach cały Śląsk Cieszyński, ale także interes gospodarczy. W każdym razie nie bez cienia zainteresowania podkreśla mocno na zakończenie, że problem cieszyński,

zwłaszcza przy dużym zaostreniu obecnych stosunków polsko-czeskich jest nadal otwarty.

Omawiając literaturę dotyczącą Cieszyńskiego, stawia Witt zarzut Polsce, że pod względem naukowym Polacy odkryli Cieszyńskie dopiero z końcem ubiegłego stulecia.

Od siebie musimy przyznać, że ponadto literatura polska w sprawie cieszyńskiej jest także pod względem jakościowym i ilościowym znacznie w tyle poza literaturą czeską i niemiecką.

Pewną lukę zapełnia druga z wymienionych na wstępie książek. „Czesi“ dają w ostrych rysach obraz stosunków czesko-polskich w minionych wiekach oraz w ciągu ostatnich 17 lat. Jest to większa broszura, skromna co do formy zwłaszcza w porównaniu do książki poprzednio omówionej, lecz przypominająca dobitnie każdemu Polakowi, że sprawa Śląska Cieszyńskiego jest sprawą honoru.

•LUDWIK KOHUTEK.

Teatr robotniczy i wiejski.

Kilka uwag.

Praca teatralna zespołów amatorskich a zwłaszcza zespołów robotniczych i wiejskich wydaje się w oczach dzisiejszego przeciętnego człowieka nieproduktywną i błahą. A jednak praca ta jest w polskim życiu zbiorowym czynnikiem dodatnim. I jeśli przypatrzemy się bliżej temu ruchowi, ogarniającemu coraz szersze rzesze ludu pracującego, to zobaczymy, że z pracy tej powstaje korzyść daleko większa niż korzyść materialna, powstaje bowiem i gromadzi się kapitał duchowy.

Teatr ludowy winien być przede wszystkim wynikiem i rezerwoarem twórczości danego środowiska, winien być wyrazem jego artystycznych potrzeb. A potrzeby te bezwzględnie istnieją, trzeba je tylko sprowadzić na właściwe tory i wyrobić u mas poczucie smaku artystycznego.

Jeżeli chodzi o sprawę teatru amatorskiego, to trzeba w pierwszym rzędzie ustalić tutaj następujący podział: teatr ludowy chłopski winien być teatrem chłopów, teatr robotniczy — teatrem robotników, teatr szkolny — teatrem młodzieży.

Mając to na uwadze, nie będziemy wątpić, czy obchody, korowody, dożynki na wolnym powietrzu, obrzędy weselne lub sobótki są teatrem wiejskim, czy nie.

W Polsce tedy zagadnienie teatru wiejskiego jest już przepracowane. Rozwija się ono na właściwej drodze.

Natomiast daleko trudniejsze do rozwiązania jest zagadnienie teatru robotniczego. Teatr robotniczy bowiem ma swoje specjalne założenia, szuka własnych dróg ideowych i własnych form artystycznych.

Środowisko robotnicze a wiejskie to ogromna różnica socjologiczna. Teatr wsi wyrósł na kulturze wiejskiej, która jest pojęciem konkretnym, jasnym, dającym się wyrazić od razu w szeregu przejawów, które w kulturze ogólnonarodowej zajęły swoje poważne miejsce, choćby wspomnieć tu tylko pieśni ludowe, tańce, obrzędy, obyczaj i t. d.

Kultura proletariacka zaś jest pojęciem dość nowym, płynnym a więc nieskrystalizowanym. Proletariat, walcząc stale o swe prawa i zdobycze, nie miał po prostu czasu na wyrażenie swych tęsknot w dziedzinie duchowej. Zatem w dziedzinie zaspokojenia głodu kultury duchowej proletariacki konsumuje dotychczas tylko dorobek kultury mieszczańskiej.

Robotnicy lubią teatr i chętnie bawią się na nic niemówiących bezideowych farsach mieszczańskich, często płaskich w dowcipie, a szkodliwych z punktu widzenia społecznego. Przyzwyczajeni wyłącznie do tego rodzaju sztuk, będą się niepokoić lub nudzić na poważnym widowisku.

Repertuar amatorskiego teatru mieszczańskiego nie będzie również odpowiedni dla teatru robotniczego. Gdyby go oprzeć wyłącznie na płaszczyźnie walki klasowej, zagadnienie byłoby uproszczone, ale nie

rozwiązane, zasadniczym bowiem celem teatru jest, aby stał się on czynnikiem wychowawczym.

Metoda pracy w teatrze robotniczym nie powinna być rozrywkową ani też uczyć aktorstwa. Zwrócić należy uwagę nietylko na widowisko t. j. na chwilowe niewybredne i niewyrobyte jeszcze upodobania widzów, ile na sprawę zespołu i cel tej pracy i na pomnożenie wiedzy o życiu i ludziach, zamkniętej w słowach tekstu.

Głównym akcentem teatru robotniczego będzie przeto akcent społeczny, rozumiany bardzo szeroko, od spraw politycznych aż do religijnych włącznie.

Naczelną treścią, jak powiada R. Rolland, powinien być kult bohaterstwa i heroizm wogóle, pojęty jak najszerzej. Dążenia gromady czy jednostki, załamania, konflikty, pociągają środowisko robotnicze nie tylko z punktu ludzkiego współczucia i bezinteresow-

nej kontemplacji artystycznej, lecz pociągają także dlatego, że są to sprawy osobiste, dobrze znane robotnikom. Bohater musi zwyciężyć, widz musi wyjść podniesiony na duchu.

Jako przykład sztuk, mających właśnie te zalety, postawić można Hauptmana „Tkaczy“ i Hyermansa „Nadzieję“.

Są one ramowym programem repertuaru teatru robotniczego, którego myślą przewodnią będą zagadnienia życiowe i powinny być wzorem dla pisarzy robotniczych w sensie rozbudzania intelektualnych zainteresowań mas pracujących.

Wkońcu dodać należy, że teatry robotnicze, szerzące kulturę duchową, podnosząc słuchacza i wykonawcę na wyższy stopień zainteresowań artystycznych, powinny mieć jeszcze jeden poważny cel przed sobą: uczyć myśleć i wyrażać swe myśli poprawnie.

WŁADYSŁAW PAWŁOWSKI.

Przeglądy.

Zagadnienie postępu.

W dniu 17. III. b. r. wygłosił Dr. Bogdan Suchodolski, docent Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w katowickim Towarzystwie Przyjaciół Nauk referat p. t. Zagadnienie postępu.

Licznie zebrane audytorjum wysłuchało z wielkiem zainteresowaniem przejrzystego i prostego wykładu. Prelegent ograniczył się do omówienia tej formy postępu, która narastała już w myśli Oświecenia i ma stąd tendencję utożsamienia się z ograniczenia do postępu w sensie rozwoju cywilizacji z pominięciem kultury. Wobec tak ujętego postępu możemy zachowywać dwie podstawy: a) prospektywną, b) aktualistyczną. Jesteśmy prospektywistami, jeśli założymy, iż przemiany, które wobec nas się dokonują, są czemś doskonalszem niż etap poprzedni i same służą za szczebel do wzniesienia się na poziom wyższy w przyszłości. Wedle mniemania zwolenników prospektywizmu dałby się postęp zobrazować przy pomocy wzniesienia się wgórę po drabinie. Jesteśmy aktualistami, jeśli przekonani jesteśmy, że każdy moment rozwoju jest doskonałością w sobie i dla siebie i nie powinien być rozważany w stosunku do przeszłości i przyszłości, a przeżywany w swej odrębności jako chwila, posiadająca wartość w sobie. Nastawienie do postępu aktualisty podobne jest do nastawienia podróżnika, idącego brzegiem nadmorskim, dla którego widok z każdego punktu jest przeżyciem doskonałym dla siebie bez potrzeby ustosunkowania go do poprzednich i następnych.

Z przedstawionej struktury postępu wynikało sceptyczne ustosunkowanie się do naukowej oceny postępu. W postęp możemy wierzyć, będąc optymistami, postępu możemy nie widzieć, będąc pesymistami, a zatem wiara tylko może dać nam ocenę postępu, naukowo uzasadnić ani zmierzyć postępu nie można, co dla

jednych jest postępem, dla drugich jest zatamowaniem czy nawet upadkiem.

Nad wygłoszonym odczytem rozwinęła się żywa dyskusja, która wykazała iż prostota i przejrzystość, jeśli zdobyte są kosztem zbytniego upraszczania i ściśniania zagadnienia, przyczyniają się raczej do stwarzania nieporozumień i jednostronności, niż do myślowego pogłębienia samej rzeczy.

Większość dyskutantów nie zauważyła świadomego ograniczenia się prelegenta do formy postępu w znaczeniu Oświecenia i popłynęła rąco za tą myślą jako jedyną, chwalc i wynosząc jako jedyny postęp cywilizacji.

Część uległa sceptycyzmowi prelegenta wobec postępu, wynikającemu również z ciasnego postawienia zagadnienia, i wypowiedziała swą wiarę czy niewiarę w postęp, nie siłując się na obronę naukowego uzasadnienia postępu.

Zwolennicy naukowego rozważania tego zagadnienia zauważyli krytycznie, iż nie powinno chodzić w analizie tylko o konsekwencje i strukturę takiej czy innej formy postępu, a należałoby organizm postępu poznać przez porównanie wnikliwe wszystkich zasadniczo znanych nam form i wskazać na istotne człony w budowie postępu i na tej podstawie dojść do ustalenia obiektywnej miary postępu w różnych dziedzinach.

A więc przedewszystkiem trzeba rozróżnić różne dziedziny, w których postęp się przejawia, jak: indywidualno-personalna, społeczna, techniczna, ekonomiczna, naukowa, estetyczna, religijna itd., wskazać na wartości i idee, które kierują wysiłkami twórców w obrębie poszczególnych dziedzin, oprócz tych idei specjalnych wskazać na rolę idei poszczególnych kultur, zbadać

wpływanie tych kultur na siebie, zazębianie się, nakładanie — i na tej podstawie istotnie wypracować dynamiczną strukturę postępu wraz z jej miarą i oceną.

Przedewszystkiem trzeba być samemu choćby skromnym pracownikiem w pewnej dziedzinie postępu. Oświecenie wraz

ze swoją ruchliwością na polu różnych teorii jest w tem właśnie bezpłodne, iż samo było rozważaniem sceptycznym na temat dorobku przeszłości, nie przynosiło jednak żadnych nowych wartości, nowych idei, — jak słusznie podniósł prelegent, Oświecenie ześwieczczało tylko idee wznioślejsze, pozbawiając je tem samem siły i życia.

W. G.

Jak nie można bronić kultury?

Doskonale redagowany wileński dwutygodnik lewicowy „Poprostu”, pragnie zorganizować jednolity front chłopsko-robotniczej lewicy literackiej. Każdy numer przynosi kilka nowych dłuższych lub krótszych deklaracji literatów, wśród których przeważają jednak nazwiska nieznane. Ciekawa inicjatywa a jeszcze ciekawsze powinno być jej dalsze koleje.

Wszystko poszłoby sprawnie i gładko, gdyby nie bunt jednego śmiałka. Jest nim Czesław Miłosz, który zamiast krótkiej, jak jedni, lub dłuższej a pretensjonalnej, jak drudzy, deklaracji przysłał „List do obrońców kultury”. Postawił w nim śmiało te wszystkie kwestje i wątpliwości, które dręczą każdego bliżej z zagadnieniami kultury zżytego czytelnika społeczno-literackich pism lewicowych. Jasnem jest, że kwestje te dla literata i poety, deklarującego przytem swoją przynależność do lewicy radykalnej, muszą być szczególnie niepokojące i drażliwe.

Miłosz oświadcza swą solidarność z frontem pisarzy, walczących z niebezpieczeństwami, jakie zagrażają kulturze ze strony faszyzmu. Ale równocześnie poddaje surowej ocenie i krytyce stosunek do kultury, jakim odznacza się sama młoda lewica.

„Atmosferę, w jakiej żyje w Polsce t. zw. młoda lewica, możnaby sobie wyobrazić jako rodzaj wielkiego leja, utworzonego przez silny prąd. W tym martwym punkcie ludzie i poglądy obracają się w kółko, żeby od czasu do czasu nurkować aż na samo dno głupstwa. Myślę tu o jednej tylko stronie działalności lewicy, mianowicie o tej, gdzie zaznacza się stosunek do zagadnienia kultury. Nikt mnie nie przekona, że tak być powinno. Stosunek ten jest barbarzyński...

Czytając artykuły młodych marksistów polskich o literaturze i sztuce, chce się przypuszczać, że zależy im nie-słuchanie na tem, aby dzisiejszy okres został kiedyś nazwany okresem całkowitego upadku arcyzmu: tak starają się wywęszyć zdradę i odstępstwo klasowe, tak są nie-strudzeni w szperaniu, czy przypadkiem ktoś nie napisał „Bóg” z dużej litery, że po ogólnej rewizji nie zostaje w ich rękach nic prócz paru książek Wandy Wasilewskiej (nowa Zarzycka, wyspecjalizowana w sprawiedliwości społecznej)“.

Ludziom tym zarzuca Miłosz, że chcą decydować i wyrokować

bezapelacyjnie o tem, w jaki sposób współczesne procesy ekonomiczne mają się przejawiać w literaturze.

„Obecność takich ludzi ubogich duchem prawdopodobnie wcale nie przyspiesza nadejścia nowych form społecznych i gdyby naprawdę oni mieli słuszość, z wiarą w przebudowę ustroju nie dałaby się pogodzić żadna wiara w odrodzenie kultury, zagrożonej przez faszyzm i militaryzm.

Autor, który, dając wyraz swojemu światopoglądowi, protestuje namiętnie przeciwko złu dzisiejszego świata, jeśli chce zyskać poklask i oficjalny tytuł pisarza-rewolucjonisty, musi to robić „w sposób przepisowy, w odpowiedniej postawie na baczność i z głową zwróconą pod odpowiednim kątem“.

Wypływa to stąd, że od humanistów wymaga się, by wypowiadając się przeciw faszyzmowi, posługiwali się motywami w niczem nie przekraczającymi norm, ustalonych dla robotnika czy małorolnego chłopca. Młoda lewica niechce zrozumieć, że humanista, walcząc o nowe formy społeczne, czyni to ze swoich własnych względów, wcale od innych nie gorszych, że pragnie w nowych formach ustrojowych ująć realizację tych tęsknot i tych postulatów, które w obecnym porządku rzeczy są nieosiągalne i narażone na zagładę (powszechność oświaty, zbliżenie społeczeństwa do sztuki i udostępnienie szerokim masom dóbr kultury duchowej, od której są odcięte).

Krótko mówiąc, Miłosz wystąpił w obronie praw artysty, praw, które rządzą sztuką, przeciwko zwolennikom „literatury faktu“, „surowej rzeczywistości“ i uczuć zbiorowych.

Pozostawiając sobie jeszcze na później omówienie replik, które się w związku z listem do obrońców kultury w „Poprostu“ ukazały, trzeba stwierdzić, że te może przejawione w niektórych punktach wywody młodego a wybitnego poety zawierają dużo prawdy. Jako wkraczający już w dziedzinę humoru, dowód tego można przytoczyć prowadzoną w temże piśmie „Skrzynkę wierszową“, gdzie jakiś poetycki mentor wyklada z całą powagą i namaszczeniem zasady twórczości rewolucyjnej. Jest to najczystszej wody freblówka dla proletariackich grafomanów, a zasady w niej głoszone są jakby naumyślnie świetnie dostosowane do poparcia słów Miłosza.

Traktowanie sztuki z punktu widzenia jej przydatności do agitacji musi ją zdeprawować i zabić, musi zmarnować mniej odporne indywidualności twórców a wybitniejszym zamknąć usta. Zh.

„Kuźnica” jest najtańszem pismem społeczno-literackiem

„Gwóźdź“ do konjunktury.

W związku z artykułem w „Kuźnicy“ o „Dziejach pewnej konjunktury“ warto „przygwoździć“ pewien szczegół, dotyczący Adolfa Fierli, który wyjmujemy z czeskiego kwartalnika regionalnego, poświęconego Śląskowi, a wychodzącego w Opawie (Vestník Matice Opawské, XXX: 1935, c. 1—2, str. 60). Znajdujemy tam recenzję o „almanachu slezského písemnictví“, zatytułowanym „Nas hlas“, z której dowiadujemy się, iż Adolf Fierla drukował w nim swe wiersze obok takich pisarzy, jak dobrze nam znany Petr Bezruc. Trzeba pamiętać, iż działo się to w czasie, kiedy Czesi dławili śląską prasę polską po tamtej stronie Olzy, i — nie było się gdzie wygłupiać... Fakt, iż w tym samym almanachu publikował swe wiersze Emil Zegadłowicz jest wytłumaczony, bo przecie jego ojczyzną, jak sam mówił o tem niedawno w „Wiadomościach Literackich“, jest Polska, Ruś i Czechy...

Współpraca Fierli z Czechami, dziwnie i pięknie godzi się z „Naszym Ludem“ i jego kalendarzami, w których także popisywał się „nasz genjusz“, a w których do „najwybitniejszych mężów Śląska Cieszyńskiego“ zalicza się Haasego, Prokopa, Hinterstoissera, Petera — za nic mając pracę Stalmacha, Świeżego, Michejdów, Londzina i innych. Obojętnie, czy germanizują, czy czechizują, „rozdustrani“ Fierla wszędzie radośnie basuje... W reklamarskim dorobku swoim wśród Czechów zyskał już dawniej „poważną“ przynależność do „nasich umelcu“ (Česke Slovo, 1934, 51) i to go widocznie olśniło. Przypomnieć warto, że ów kompan Koźdonia i Bezruca korzystał (bez pytań) z subwencji Śląskiego Towarzystwa Literackiego (Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, IV, str. 335). Powracająca fala staje się coraz brudniejszą...

a. w.

Od Redakcji.

Ponieważ ukazanie się notatki „Rewja znawców“ (nr. 3 „Kuźnicy“) wywołało pewne ataki ze strony osób zainteresowanych, zaczepiające m. in. fakt niepodpisania notatki pełnem imieniem i nazwiskiem, na życzenie autora jej powiadamy Czytelników, że jest nim p. Zdzisław Hierowski, stały współpracownik naszego pisma.

W. Pan R. Czerny, Knurów: Artykuł Pana obok kilku myśli niejasnych zawiera sądy i postulaty całkowicie słuszne. Są one jednak znane. Niejednokrotnie sprawy te w „Kuźnicy“ były poruszane i po linii tych poglądów idzie nasza działalność w odniesieniu do Śląska. Wdzięczni byłibyśmy, gdyby Pan, będąc wiernym tym poglądom, zechciał nam czasem donieść w krótkiej notatce o ważniejszych wydarzeniach życia kulturalnego na tamtejszym terenie.

Wydawnictwa nadesłane:

Dr. J. W. Reichert: „Dwoistość“ karteli, przetłumaczył wstępem oraz uwagami uzupełnił Janusz Ignaszewski, Katowice 1936 — odbitka z „Hutnika“.

Janusz Ignaszewski: Polski rynek żelaza w r. 1935, Katowice 1936.

Janusz Ignaszewski: „Czechosłowacja jako producent stali“, Katowice 1935.

Janusz Ignaszewski: „Rola żelaza w zatargu japońsko-chińskim“, Katowice 1933.

„Poprostu“ — dwutygodnik literacko-społeczny, Wilno.

„Nowe Czasy“ — Lwów.

„Awangarda Państwa Narodowego“ — miesięcznik — Poznań.

DZIEŁA STANISŁAWA BRZozowskiego

WYDANIE ZBIOROWE

NAKŁADEM INSTYTUTU LITERACKIEGO W WARSZAWIE

pod redakcją

ARTURA GÓRSKIEGO I STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO.

- I. Prace naukowe, filozoficzne i rozprawy popularne z najwcześniejszego okresu twórczości.
- II. Studja literackie, estetyczne i recenzje teatralne.
- III. Utwory beletrystyczne z wczesnego okresu twórczości.
- IV. Kultura i życie. — Wstęp do filozofji. — Fryderyk Nietzsche (już wyszedł).
- V. Widma moich współczesnych. — Studja społeczne i społeczno-polityczne.
- VI. Współczesna powieść. — Współczesna krytyka. — Studja o Żeromskim i Wyspiańskim.
- VII. Płomienie.
- VIII. Legenda Młodej Polski (i odmiany pierwszej redakcji).
- IX. Idee. — Studium o Newmanie.
- X. Filozofja romantyzmu polskiego. — Głosy wśród nocy.
- XI. Sam wśród ludzi. — Książka o starej kobiecie.
- XII. Pamiętnik. — Wybór listów.

Wydanie obejmuje cały dorobek wielkiego myśliciela, m. in. prace dotychczas niedrukowane — i ukaże się w ciągu 3 lat
Cena tomu 6,— zł.

SKŁADY GŁÓWNE:

Instytut Literacki, Warszawa, Pałac Staszica
i „Nasza Księgarnia“, Warszawa, Świętokrzyska 18.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Plebiscytowa 1. Telefon Nr. 307-51. Konto P. K. O. Nr. 304-581.

Wydawca i Redaktor: Paweł Musioł.

Redaktor odpow.: Zdzisław Hierowski.

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł, numer pojedynczy 0,50 zł.

Ceny ogłoszeń: $\frac{1}{1}$ strona 200,— zł, $\frac{1}{2}$ strony 100,— zł, $\frac{1}{4}$ strony 50,— zł, $\frac{1}{8}$ strony 30,— zł, $\frac{1}{16}$ strony 15,— zł. Drobne ogłoszenia 0,25 za słowo.

Druk: Zakłady Graficzne „Mercuria“ Siemianowice Śl.